

TEMAT
TYGODNIA

- 10 Adam Szostkiewicz
Nasz Lechu, wasz Bolek
- 13 **Andrzej Celiński**
o próbie przerabiania
historii Solidarności
- 16 **Karol Modzelewski**
o niesprawiedliwości
dziejów i radości
z niszczenia innych ludzi

POLITYKA

- 18 Andrzej Bobiński
Wojciech Szacki
Rządowa studniówka
- 22 Malwina Dziedzic
Lewicę ciągnie do PiS
- 24 Wicepremier **Mateusz Morawiecki** o swojej
„dobrej zmianie”
- 27 Joanna Podgórska
Tomasz Arabski:
koziół smołeński
- 30 Juliusz Cwieliuch **Tiry**
na wojennej ścieżce

SPOŁECZEŃSTWO

- 32 Rozmowa
z dr. n. med. **Konradem**
Pszczółowskim
o misji i portfelu lekarza
- 36 Agnieszka Sowa
Walka Kory z rakiem
i chorym systemem
- 39 Joanna Cieśla
Jak nie zwariować
w firmie rodzinnej

RYNEK

- 42 Cezary Kowanda
Joanna Solska
Zygmunt Solorz-Żak:
biznes w cieniu polityki
- 46 Joanna Solska
Jak PiS uderzył
w polskich producentów
żywności

ŚWIAT

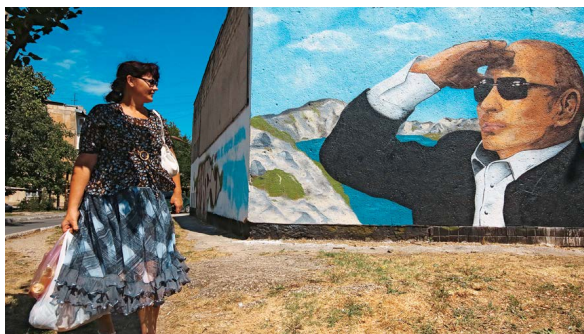
- 48 Łukasz Wójcik SYRIA
Tragedia Aleppo
- 51 Zdzisław Górkiewicz KRYM
Bardziej wyspa
niż półwysp
- 54 Tomasz Zalewski USA
Śmierć sędziego
ważniejsza niż wybory?
- 56 Prof. **Andrew Moravcsik**
o tym, dlaczego UE
jest wciąż największym
sukcesem politycznym
świata



24 **Mateusz Morawiecki:**
Przyzwyczajcie się do naszego rządu



32 **Medycyna, pieniądze, etyka**



51 **Krym ich – minęły dwa lata**



72 **Maria Peszek:**
zaraza puchnie i wybuchnie

HISTORIA

- 58 Tomasz Targański **Koniec**
dyktatury Marcosa
- 61 Łukasz Bertram
W obiegu NOWEJ

NAUKA

- 64 Jacek Kubiak **Poprawianie**
ludzkiego genomu
- 66 Mirosław Szreder
Tajniki statystyki

KULTURA

- 72 Rozmowa z **Marią Peszek**
o nowej płycie, strachu
i o tym, czy się zapisze
do KOD
- 76 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 78 Laureat Paszportu POLITYKI
Tymek Borowski o tym,
dlaczego dobra sztuka jest
użytkowa
- 80 Janusz Wróblewski
Skandalista Żuławski
- 82 Janusz Wróblewski
Oscary: „Zjawa”
czy „Spotlight”?
- 85 MEA PULPA **Kuby**
Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

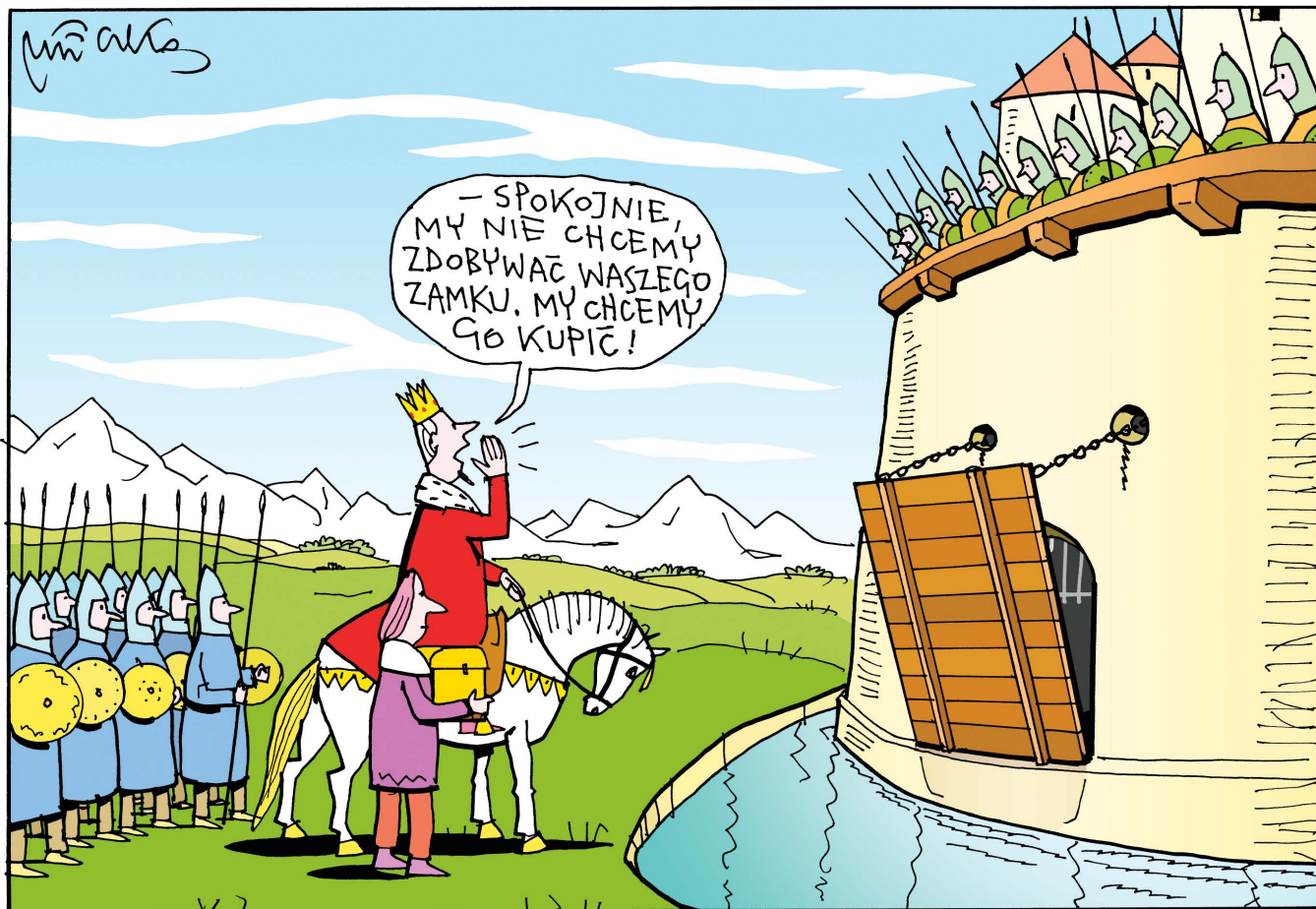
- 86 Agnieszka Krzemińska
Agnieszka Gac-Zuppinger
Piekielna kuchnia
- 89 Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM
Jak zrobić uche
- 90 Marcin Piątek
Jorge Mendes:
piłkarski menedżer
gwiazdor
- 92 Justyna Sobolewska
Umberto Eco
– dar niebios
- 94 Janusz Wróblewski
Nagrodzeni w Berlinie

NA WŁASNE
OCZY

- 100 Joanna Leszczyńska
fotografie Anna Musiałówna
Matki zawodowe

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 5 Ludzie
i wydarzenia • 68 Afisz • 95 Stomma
• 96 Passent • 97 Tym • 98 Do i od
redakcji • 99 Fusy • 106 Polityka
i obyczaj



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Zlecenie na wicepremiera

felieton



Calej prawdy o mediach publicznych za czasów koalicji PO-PSL nigdy dość, dlatego dobrze, że wicepremier Gliński chętnie ją ujawnia. Niektórzy mu zarzucają, że może posuwa się przy tym trochę za daleko i niepotrzebnie przekracza granice śmieszności, ale moim zdaniem na korzyść wicepremiera przemawia fakt, że jest to śmieszność zupełnie niezamierzona. Poza tym ta śmieszność nie może nam przesłaniać powagi tematu, dlatego uważam, że minister słusznie się nie waha, tylko wali z grubej rury. Na wahanie przyjdzie ewentualnie czas potem, kiedy publiczne media będą już w sposób nieodwracalny uratowane, a cała prawda o nich – wyświetlona.

W niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Piotr Gliński najpierw naświetla przygnębiającą sytuację polityczną w latach 2008–15, kiedy to funkcjonariusze koalicji PO-PSL panowali nad

państwem, „mając wszelkie zasoby i klimat zewnętrzny, bo realizowali interesy polityczne innych krajów”. Następnie przywołuje pamięć bohaterskich dziennikarzy telewizyjnych, „którzy byli zsyłani i upokarzani, bo nie chcieli być propagatorami władzy PO-PSL”. Przypomina np., że red. Holeccka przez lata musiała prowadzić program skazany na niszowość i słabą oglądalność.

Dopiero dojdzie PiS i Glińskiego do władzy spowodowało, że Holeccka mogła wyjść z programowej niszy, w której była siłą przetrzymywana, i zaprezentować się szerokiej widowni w „Wiadomościach”. Przy okazji możliwe stało się uwolnienie TVP od ludzi pokroju red. Kraśki, co do którego Gliński ma wyrobione zdanie, bo jak przyznaje, „miałem z panem Kraśką do czynienia i wiem, jakie miał zlecenia”. Uważam, że do tak ostrych słów pod adresem mediów publicznych Gliń-

ski ma pełne prawo, bo w czasach, gdy był kandydatem PiS na premiera technicznego, te właśnie media brutalnie niszczyły go w ten sposób, że – jak mówi – do niektórych programów TVP nigdy nie został zaproszony. Wszyscy rozumiemy, jak bardzo musiał być rozżalony, dlatego uważam, że byłoby dobrze, gdyby o tym mrocznym epizodzie powstał w Hollywood jakiś patriotyczny film. Dla nas, Polaków, najważniejsze jest, że nękanie wicepremiera Glińskiego brakiem należnych mu zaproszeń do telewizyjnych programów się nie powiodło.

Piotr Gliński wymierzony w niego atak przetrwał na uruchomionym przez prezesa Kaczyńskiego tablecie, z którego mógł swobodnie i bez żadnych ograniczeń mówić to, co chciał. A dziś jest chętnie zapraszany do wszystkich programów w TVP, co dowodzi, że te programy powoli osiągają poziom, jakiego minister Gliński od nich oczekuje.

TEST WAŁĘSY

PRZY-PISY

Teczki Wałęsy chwilowo przygniotyły polską politykę i media. Nie używam alternatywnego określenia „teczki Kiszczaka”, bo do dziś nie wiemy, co jeszcze pracownicy IPN wynieśli w pudłach z domu generała. Słyszeliśmy, że było tam kilkadziesiąt kilogramów akt, zapewne o szczególnym znaczeniu. Fakt, że IPN w dużym pośpiechu, nie czekając na fachowe ekspertyzy, ujawnił dwie teczki Bolka, niepotrzebnie sprawia wrażenie jakiegoś chachmęcenia. Czy doczekamy się równie sprawnego ujawnienia wszystkich pozostałych znalezisk?

Tymczasem cała Polska ekscytuje się (i jest ekscytowana) kwitami Wałęsy. Bez względu na to, kto i jakie opinie ma o Lechu Wałęsie, jest czymś okropnym patrzeć na szamoczącego się, zaszczutego i osamotnionego człowieka, pamiętając, że to jedna z najważniejszych postaci całej polskiej historii. Czy naprawdę nie ma przy nim nikogo, jakiegóż choćby nielicznej grupy wsparcia, jakichś doradców? Fakt, Wałęsa ma dość paskudny charakter, rozmaitych ludzi do siebie pozrażał, politycznie i środowiskowo został sam jak palec, więc teraz szarpie się z upokorzeniem, gdzieś ze świata wystukując coraz bardziej chaotyczne wyjaśnienia. To przykre, ale w sumie uważam, że dobrze się stało, także dla Wałęsy. Nieoczekiwanie zaczął się montować spontaniczny front obrony Lecha, stanęły do apelu niemal wszystkie najważniejsze autorytety dawnej solidarnościowej opozycji, z wyjątkiem nielicznej grupki jego od dawna zaprzyjętych wrogów. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek tyle mówiono o wielkości Wałęsy, co przy okazji ujawnienia teczek zawierających (?) „kompromitujące dowody jego współpracy z SB”.

Nie mam intuicji, jaka emocja przeważy w tzw. publicznym odbiorze – potępienie i dzika satysfakcja, prezentowana dziś przez niektórych polityków PiS (prezydent Duda, premier Szydło i jej ministrowie) oraz propisowskie środowiska, czy raczej odruch obrony naszej własnej pamięci o Lechu, niechby nawet w wersji o Polaczku-cwaniaczku, który wykiwał komunę, dostał Nobla i prezydenturę. Mam wrażenie, a może to tylko życzenie, że PiS przejdzie się na poniewieraniu Wałęsy i orwellowskim przerabianiu historii. Pewnie tylko ci, którzy wierzą w zamach smoleński, i młodzi, którzy niewiele pamiętają, mogą, wbrew wszelkim faktom i świadectwom, przyjąć opowieść o III RP



Jerzy Baczyński

jako spisku ubeków z agentami. Ta kanoniczna dla PiS narracja, uzasadniająca dzisiejszą rewolucję, właśnie została poddana nieoczekiwanej próbie. Sądzę, że każdy z nas, jeśli nie publicznie, to przed samym sobą powinien wypowiedzieć się w sprawie Wałęsy. Czy, nawet jeśli te wszystkie Kiszczakowe kwity są prawdziwe, jest skłonny zrozumieć, wybaczyć, uznać, że Wałęsa odpuścił i z nawiązką zadośćuczynił? Czy raczej trzeba Bolka-Wałęsę obłożyć infamią, zrewidować jego pozycję w historii, być może raz na zawsze wymazać z katalogu polskich bohaterów? Ten „test Wałęsy” wydaje mi się ważny dla określenia naszego stosunku do historii, własnego doświadczenia i wobec innych ludzi.

Nasłuchałem się ostatnio i naczałem głosów „sprawiedliwych wśród narodu”, którzy Wałęsę nie odpuszczają. Zwłaszcza polscy polityczni chrześcijanie prześcigają się, kto pierwszy rzuci kamieniem. Najłagodniejsi mówią – niech się przyzna, niech się ukorzy i prosi (nas) o wybaczenie. Kościół katolicki, którego Wałęsa jest wiernym synem i przez najtrudniejsze lata obnosił się z Matką Boską w klapie, też nie śpieszy mu z pomocą, otuchą, publicznym „jako i my odpuszczamy”. Nie – mamy ten sam pełen pychy moralny rygoryzm wobec innych, pisowskie poczucie wyższości, bezkompromisowości. Kościół też powinien pilnie zrobić sobie test Wałęsy.

Niestety, nie mam złudzeń co do PiS, chyba że w teczkach Kiszczaka znalazłyby się jakieś kwity niewygodne dla rządzącej formacji. Tylko wtedy mogłoby się okazać, że ubeckie papiery bywały fałszowane, że nie są wyrocznią, że ludzie mają prawo do błędu. Jeśli nie – będziemy celebrować publicznie jedną z najsilniejszych cech tej formacji: mściwość. Nawet po 30 latach Jarosław Kaczyński (a więc i jego dwór) nie daruje dawnemu wrogowi; żadne wspomnienia wspólnej walki nie będą okolicznością łagodzącą; nie będzie względu dla bólu i wstydu starego człowieka, który musi się tłumaczyć z niedoświadczenia, strachu czy naiwności w jakichś odległych czasach. Nieistotny jest wizerunek i zagraniczny prestiż Polski, dumna legenda walki o wolność, nie – trzeba się zemścić. To nienaturalne, chore zaleganie złych emocji przytłacza dziś polską politykę większym ciężarem niż wszystkie ubeckie teczki.

List z siłą tomahawków



Juliusz Ćwieluch

Nad waszyngtońskim Kapitołem 8 stycznia powiewała gwiazdzista flaga. Niby nic wielkiego, bo tak dzieje się dzień w dzień od ponad 200 lat. Tylko że tym razem flaga powiewała na cześć polskiego bohatera, jednego z ostatnich żyjących Cichociemnych – Aleksandra Uplaza Tarnawskiego. Amerykańscy kongresmani nie tylko wiedzieli, że taki człowiek żyje, ale nawet pamiętali, kiedy się urodził i czego dokonał. Kilkanaście dni później pięknie zapakowana flaga wraz

z certyfikatem architekta Kapitolu i listem gratulacyjnym od jednego z kongresmenów została oficjalnie przekazana Aleksandrowi Tarnawskiemu. Choć to człowiek niezwykle skromny, trudno mu było ukryć wzruszenie. Pewnie byłoby większe, gdyby na podobny gest zdobyli się polscy parlamentarzyści. Tym bardziej że rok 2016 oficjalnie uchwalili jako Rok Cichociemnych. Widocznie data 8 stycznia jakoś im umknęła.

Ta historia pokazuje, kto i jak jest poinformowany. I wbrew temu, co próbowała wszystkim wmówić premier Beata Szydło, amerykańscy kongresmeni wiedzą o nas więcej, niż byśmy czasem nawet chcieli. Z pewnością więcej wiedzą również o dyplomacji niż pani premier, która nie tylko najwyraźniej nie zrozumiała treści, ale nawet intencji skierowanego do niej listu trzech senatorów. A te były proste. Zwrócić uwagę na niepokojące Amerykanów działania rządu PiS, ale tak, by nie stawiać sojusznika w trudnej sytuacji.

Takich listów nie pisze się spontanicznie. Ani też nie podpisują ich przypadkowe osoby. Senator McCain stracił już szansę na zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale bynajmniej nie stracił swoich wpływów w Waszyngtonie. To niezwykle wpływowy szef senackiej komisji do spraw sił zbrojnych. Jego podpis na liście jest jak żółta kartka. Sądząc po jakości upublicznionej po polsku odpowiedzi Beaty Szydło, pani premier musi się tego wszystkiego jeszcze nauczyć.

Ale rachunek za tę lekcję został już wystawiony. Tak się składa, że negocjacje w sprawie zakupu przez Polskę pocisków manewrujących tomahawk stanęły właśnie w martwym punkcie. Choć żadna ze stron nie potwierdza tego oficjalnie, o broni, która mogła razici strategiczne cele nawet 800 km od polskich granic, możemy zapomnieć. Taką broń sprzedaje się tylko najwierniejszym i przewidywalnym sojusznikom. Polska spełnia już tylko to pierwsze kryterium.

komentarz

Oskarżony: Lech Wałęsa

Zgromadzone w Instytucie Pamięci Narodowej materiały Służby Bezpieczeństwa dotyczące Lecha Wałęsy obejmują grubo ponad 50 tomów akt. Największą ich część stanowi dokumentacja Sprawy Operacyjnego Rozpracowania (SOR) kryptonim Zadra, czyli operacji SB przeciwko przewodniczącemu Solidarności, prowadzonej od 1983 r. do końca PRL. Druga grupa dokumentów to teczki SOR kryptonim Bolek, założonej w lipcu 1978 r., czyli akta inwigilacji Wałęsy jako działacza opozycyjnych Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Odtąd Wałęsa stał się tzw. figurantem, czyli osobą prowadzącą działalność antypaństwową, poddaną policyjnemu nadzorowi. Wszystkim figurantom nadawano kryptonimy, którymi SB posługiwała się w wewnętrznej dokumentacji zamiast nazwiskami. Najmniejszą częścią akt dotyczących, według Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka, Lecha Wałęsy jest teczka TW (tajnego współpracownika SB) pseudonim Bolek z okresu 1970–76. Ta ostatnia część może się teraz powiększyć dzięki materiałom znalezionym 17 lutego 2016 r. w domu Czesława Kiszczaka, szefa MSW w latach 1981–90. Sprawa domniemanej współpracy Lecha Wałęsy z SB została opisana w książce Cenckiewicza i Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa.



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Przyczynek do biografii” wydanej przez IPN w 2008 r. Na ten obszerny, liczący 750 stron tom składają się dokumenty oraz dokonana przez autorów interpretacja. Przy czym sama sprawa TW Bolka obejmuje niewiele ponad 100 stron książki. Reszta to wybór rozmaitych źródeł na temat Lecha Wałęsy oraz historia oskarżenia go o współpracę z SB i jego lustracji w latach 1992–2007. O ile wartość dokumentalna książki raczej nie jest wśród historyków podważana, o tyle autorska interpretacja źródeł bywa kwestionowana. Z badań Cenckiewicza i Gontarczyka wynika, że TW Bolek został zarejestrowany przez SB 29 grudnia 1970 r. w Gdańsku. Dało się odnaleźć kilka doniesień Bolka z lat 1971–72, dotyczących sytuacji w Stoczni Gdańskiej, nastrojów robotników oraz pokwitowań odbioru pieniędzy. Na podstawie analizy innych dokumentów autorzy uznali, że istniało jeszcze kilkanaście innych doniesień Bolka z lat 1973–74 (w latach 90. miały zostać one „ukradzione” z archiwum UOP). Identyfikacji Bolka jako Lecha Wałęsy dokonali na podstawie źródeł pośrednich – konfrontacji rozma-

itych zapisów w archiwum SB – co budziło wątpliwości. Dokumenty ze zbioru Kiszczaka, wśród których znajduje się własnoręczne zobowiązanie do współpracy, mogą tę kwestię rozstrzygnąć.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że 19 czerwca 1976 r. Bolka wyrejestrowano z sieci agenturalnej „z powodu niechęci do współpracy”. Bolek był zresztą agentem niesforemym. Oficerowie SB narzekali, że w przekazywanych przez niego informacjach „przebiła się chęć własnego poglądu na sprawę, nadając jej niejako opinię środowiskową”. Podczas zebrań pracowniczych „często bez uzasadnienia krytykował kierownictwo administracyjne, partyjne i związkowe wydziału”. Z innego donosu wiemy, że Wałęsa mówił kolegom w lipcu 1974 r., że trzeba zbudować nowe związki zawodowe, które będą skutecznie bronić pracowników, tak jak na Zachodzie, przewidując, że umożliwi to „powtórkę” Grudnia 1970 r., która prędzej czy później nastąpi. Po kolejnym ataku na bierność oficjalnych „związków manekinów” w kwietniu 1976 r. Wałęsa został wyrzucony z pracy w Stoczni Gdańskiej, do której wrócił dopiero w sierpniu 1980 r.

Ani w książce „SB a Lech Wałęsa”, ani gdzie indziej nie pojawiły się jakiegokolwiek informacje o współpracy Wałęsy po 1976 r., a więc w okresie, gdy stał się działaczem opozycji, a później liderem Solidarności. Przeciwnie, wiemy, że stanowczo odrzucił on próbę werbunku podjętą w październiku 1978 r. Wiemy również, że MSW w 1982 r. fałszowało dokumenty mające świadczyć o współpracy przywódcy Solidarności z milicją, z nadzieją skompromitowania go zarówno na arenie międzynarodowej, jak i w kraju. To każe ostrożnie podchodzić także do akt znalezionych w domu gen. Kiszczaka.

Warto przypomnieć, że kwestię swoich kontaktów z SB jako jeden z pierwszych postawił publicznie sam Lech Wałęsa. W wydanych w 1987 r. wspomnieniach „Droga nadziei” tak pisał o swoim aresztowaniu w grudniu 1970 r.: „Prawdą jest, że rozmowy były. Powiedziałem wtedy – a jest to w protokołach – że jeśli nie dopuszczą do powstania autentycznych organizacji robotniczych zdolnych wyrażać i kontrolować rzeczywistość, dojdzie w niedługim czasie do większych jeszcze dramatów. I prawdą jest, że z tego starcia nie wyszedłem zupełnie czysty. Postawili warunek: podpis! I wtedy podpisałem”. Jeżeli wśród papierów gen. Kiszczaka jest zapis tamtego przesłuchania, to lepiej poznamy tę dramatyczną historię. Wszelako epizod ewentualnej współpracy z SB na syntetyczną ocenę dokonań Lecha Wałęsy jako jednego z ojców III polskiej niepodległości będzie miał wpływ niewielki – mimo polityczno-medialnego zgłębienia, jaki dziś temu towarzyszy.

JAN SKORZYŃSKI

Dokumenty 22 lutego udostępniono dokumenty znalezione w domu gen. Czesława Kiszczaka, dotyczące agenta Bolka „w celu prowadzenia badań naukowych oraz w celach dziennikarskich” zgodnie z art. 36 ustawy o IPN. Z informacji podanych przez IPN wynika, że znaleziono dwie teczki TW Bolka: personalną (183 strony łącznie z okładką) oraz teczkę pracy (576 stron łącznie z okładką; pierwsze doniesienie datowane jest na 4 stycznia 1971 r., a ostatnie na 18 lutego 1976 r.). Według opinii eksperta archiwisty, uczestniczącego w badaniu dokumentów z domu gen. Kiszczaka, są one autentyczne, jednak do tej pory nie przeprowadzono np. ekspertyzy grafologicznej. Udostępniono m.in.:

- **Odręcznie napisane zobowiązanie do współpracy datowane na 21 grudnia 1970 r.:** „Ja niżej podpisany Wałęsa Lech syn Bolesława i Feliksi urodzony 1943 w Popowie pow. Lipno zobowiązuje się zachować w ścisłej tajemnicy treść przeprowadzonych ze mną rozmów z pracownikami służb bezpieczeństwa. Jednocześnie zobowiązuję się współpracować ze służbą bezpieczeństwa w wykrywaniu i zwalczaniu wrogów PRL. Informację będę przekazywać na piśmie i będą one polegały na prawdzie. Fakt współpracy ze służbą bezpieczeństwa zobowiązuję się zachować w ścisłej tajemnicy i nie ujawniać jej nawet przed rodziną. Przekazywane informacje będę podpisywał pseudonimem [tak w oryginale] »Bolek«. Lech Wałęsa Bolek”.
- **„Arkusze wypłat i świadczeń na rzecz t. w.”. Pierwsza wypłacona kwota to 1000 zł z datą 5 stycznia 1971 r.** Są też odręcznie napisane potwierdzenia odbioru pieniędzy. Pierwsze pokwitowanie brzmi: „Kwituję odbiór tysiąca złotych: 1000 zł od pracownika służby bezpieczeństwa za współpracę i przekazywane informacje. Bolek”.
- **Notatkę oficera prowadzącego** – kpt. Edwarda Graczyka, że 21 grudnia 1970 r. dokonał „doraźnego pozyskania Wałęsy”.
- **Notatki służbowe funkcjonariuszy SB ze spotkań z Bolkiem.** Część jest pisana na maszynie, część spisana odręcznie przez funkcjonariuszy – streszczają rozmowy z Bolkiem.
- **List Czesława Kiszczaka z kwietnia 1996 r.** do dyrektora Archiwum Akt Nowych, żeby dokumenty udostępnić dopiero pięć lat po śmierci Lecha Wałęsy. (J.Z.)

Autor jest prof. Collegium Civitas, napisał m.in.: „Zadra. Biografia Lecha Wałęsy”.



Jedna na pięć na sto dni

Wczwartek 25 lutego mija dokładnie sto dni od exposé premier Beaty Szydło. W Sejmie śmiało kreśliła plany na ten czas. Sprawdziliśmy, jak idzie realizacja złożonych wtedy obietnic: „Już dzisiaj chcę powiedzieć, co przede wszystkim zrobimy w czasie pierwszych stu dni naszych rządów. **Po pierwsze, 500 zł na każde dziecko**, począwszy od drugiego, a w rodzinach o mniejszych dochodach od pierwszego dziecka” – mówiła 18 listopada w Sejmie. 17 lutego prezydent podpisał ustawę, pieniądze mają być wypłacane od kwietnia.

„**Po drugie, obniżenie wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn**”. Pod koniec listopada prezydent złożył w Sejmie projekt ustawy w tej sprawie, który jest dopiero po pierwszym czytaniu. Wicepremier Mateusz Morawiecki nie potrafił odpowiedzieć w zeszłym tygodniu w radiowej Trójce na pytanie, od kiedy będą obowiązywały prezydenckie propozycje. Mówił tylko, że „nie było w tej sprawie twardego zobowiązania rządu”.

„**Po trzecie, podniesienie do 8 tys. zł kwoty wolnej od podatku**” – wyliczała premier. Ten projekt też wpłynął do Sejmu od prezydenta, ale droga do jego uchwalenia jeszcze długa i zapewne kręta, bo choć jest już po pierwszym czytaniu, to nawet nie zajęła się nim jeszcze komisja finansów publicznych. „Podwyższenie kwoty wolnej od podatku będzie następowało od 2017 r. w ciągu kilku lat” – oznajmił minister finansów Paweł Szałamacha.

„**Po czwarte, bezpłatne leki od 75. roku życia**”. Już kilka tygodni po exposé minister zdrowia Konstanty Radziwiłł prostował jednak, że nie dotyczy to wszystkich leków. W połowie lutego rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy zdrowotnej, ale choć starsze osoby miały mieć wszystkie leki za darmo, to darmowe będą ewentualnie tylko najtańsze związane z leczeniem chorób wieku podeszłego.

„**Po piąte, podwyższenie minimalnej stawki godzinowej do 12 zł**”. 20 stycznia minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska pokazała ten projekt, a dziś jest jeszcze na etapie konsultacji, co oznacza, że nawet nie trafił pod obrady rządu.

W szczycie kampanii wyborczej Szydło mówiła: „Polacy czekają dzisiaj nie na kolejne puste obietnice, ale na konkrety, dlatego przygotowaliśmy pakiet ustaw na pierwsze 100 dni rządów. Te projekty, jeśli tylko obywatele nam zaufają, zostaną zaraz po wyborach złożone w Sejmie”. Z pięciu spraw, które premier obiecała „zrobić w czasie pierwszych stu dni” zrealizowała jedną – 500 zł. PiS zdążył za to z ustawami: paraliżującą Trybunał Konstytucyjny, rozmontowującą służbę cywilną, zmieniającą zarządy mediów publicznych, a także z tą, która robi ze Zbigniewa Ziobry prokuratora i ministra sprawiedliwości w jednym. Z pięciu kluczowych obietnic premier Beata Szydło zrealizowała tylko jedną, dlaczego? – pytamy w PiS. – *Audyt w ministerstwach pokazał wielki bałagan, stan państwa był jeszcze gorszy, niż przewidywaliśmy, więc się nie dało* – mówi ważny polityk PiS. Tak więc alibi jest już gotowe. Czyja to wina? Wiadomo.

(DAB.)

komentarz

Filary na piasku



Adam Grzeszak

Plan na rzecz odpowiedzialnego rozwoju, zwany też planem Morawieckiego, to przepustka do politycznej kariery wicepremiera i ministra rozwoju. Były prezes banku BZ WBK wyrasta na gospodarczego lidera rządu, jest nowym odkryciem Jarosława Kaczyńskiego i – jak słyhać – jego fascynacją. Także dlatego, że błyskawicznie nauczył się języka prezesa i bardzo sprawnie się nim posługuje (o czym świadczy wywiad, jakiego udzielił POLITYCE – s. 24). Premier Beata Szydło wypada przy nim blade.

Wczasie gdy na scenie politycznej trwa zawierucha, PiS walczy ze wszystkimi o wszystko, zawłaszcza instytucje państwa, obsadza spółki i urzędy własnymi ludźmi, on jak gdyby nigdy nic przedstawia wizjonerski program. Jest przyjazny, wyluzowany i uśmiechnięty. Uspokaja, że wszystko jest pod kontrolą, a on wie, jak zapewnić Polsce szybki awans do światowej elity wysoko rozwiniętych państw, Polakom zaś dobrobyt, jakiego dziś zazdroszą Niemcom czy Brytyjczykom. Zbiera oklaski. Plan Morawieckiego jest już dziś przyrównywany do planów Leszka Balcerowicza czy Jerzego Hausnera, wicepremierów, którzy wcześniej reformowali polską gospodarkę.

Wrzeczywistości na razie mamy do czynienia z kompilacją pomysłów zaczerpniętych z rozmaitych programów i opracowań, jakie przygotowywał poprzedni rząd i jakie podpowiadali ekonomiści i eksperci (w tym autorzy programów gospodarczych PiS) oraz organizacje przedsiębiorców. Na tym poziomie ekonomiczne programy łatwo zdobywają poklask, bo redagowane są jak programy wyborcze: obiecują.

Program Morawieckiego wychodzi od diagnozy, co do której nie ma sporu. Polsce grozi utknięcie w pułapce średniego rozwoju (zjawisko to wyjaśniał w POLITYCE 8 prof. Witold Orłowski). Doszliśmy do etapu, w którym dalszy wzrost gospodarczy na dotychczasowym paliwie (niskie koszty pracy, prosta odtwórcza produkcja) nie jest możliwy. Musimy więcej inwestować, także z własnych pieniędzy, musimy szukać gospodarczych specjalizacji, by więcej zarabiać na bardziej zaawansowanych produktach. Pełna zgoda.

Latwo powiedzieć, trudniej zrobić, zwłaszcza dziś. Każdy z pięciu filarów programu Morawieckiego (reindustrializacja, innowacyjność, kapitał, ekspansja zagraniczna, rozwój społeczny) stoi na kruchym lodzie. Odnieść można wrażenie, że autor tak był zajęty tworzeniem programu, że nie zauważył, co się dzieje w kraju. Obiecuje stabilne prawo, kiedy każda ustawa może zostać zmieniona bez konsultacji, decyzją jednego człowieka, z dnia na dzień. Sprawną administrację, kiedy trwa wymiana urzędników na funkcjonariuszy partyjnych. Prosty i przyjazny system podatkowy w sytuacji jego intensywnego komplikowania i rozbudowy organów kontroli. Finansowanie rozwoju przez banki, kiedy kolejne daniny nakładane na system bankowy grożą jego załamaniem. Podbój świata nowymi polskimi technologiami, kiedy miliardy pompowane są w upadające kopalnie. Dziś największym problemem rozwoju gospodarczego Polski nie jest brak kapitału (nawet obiecwanego biliona złotych), ale niski stan kapitału społecznego. A tego ubywa z każdym dniem.



Stronnictwo czarnej owcy

Szwajcarska Partia Ludowa, największe ugrupowanie w parlamencie tego kraju, nie przejmie się międzynarodową krytyką i na swoich plakatach ponownie przedstawi obcokrajowców jako czarną owcę wykopywaną poza obszar narodowej flagi przez białą krewną. Po taką symbolikę SPL sięga regularnie już od 2007 r. Tym razem to element kampanii przed niedzielnym referendum, w którym obywatele zadecydują, czy poprzeć nową ustawę pozwalającą na przymusowe wysiedlanie cudzoziemców, którzy w ciągu 10 lat dwukrotnie popełnią przestępstwo.

Stojący na czele partii Christoph Blocher ogłosił, że w kwietniu wraz z resztą zarządu przejdzie na emeryturę. To właśnie 75-letni miliarder przekształcił niewielkie ugrupowanie centrowo nastawionych rolników w partię nacjonalistyczną, która w ostatnich wyborach zgarnęła głos co czwartego Szwajcara. Blocher do swoich największych sukcesów zalicza osłabienie więzów z Unią Europejską (np. przez zaostrzenie warunków imigracyjnych dla jej obywateli) czy zakaz budowy minaretów. Teraz schedę w partii przejmuje po nim córka Magdalena, która w ostatnich wyborach została posłanką ugrupowania. Z tego powodu krytycy nazywają tę rodzinę „szwajcarskimi Le Penami”, ale sam Blocher nie lubi porównań do francuskiego Frontu Narodowego, który uważa za „partię zbyt lewicową”.

Evo ma kłopoty

Evo Morales, po 10 latach sprawowania rządów, najdłuższych w historii kraju, poprosił Boliwijczyków, aby w referendum dali mu prawo do ubiegania się o czwarty mandat, do 2025 r. Wystąpił o to ze sporym wyprzedzeniem, bo kadencja kończy mu się w 2019 r., uznał widać, że z czasem o akceptację będzie coraz trudniej. I według wstępnych wyników – referendum przegrał. Choć nikt mu, pierwszemu prezydentowi Boliwii o indiańskim pochodzeniu, dawnemu hodowcy liści koki, postaci barwnej i wyrazistej, nie może odmówić zasług. Choćby ten prosty fakt: kiedy zaczynał, na listach wyborczych była nieco ponad połowa rodaków, teraz – 83 proc. Wskaźnik skrajnego ubóstwa zmniejszył z 38 do 17 proc., zapewnił też krajowi przez lata stabilny 5-proc. rozwój, oparty głównie na eksporcie gazu i kopalin, we współpracy z Chińczykami. Wysłał nawet w kosmos boliwijskiego satelitę (*made in China*).

Ostatnio szło mu gorzej, w związku z kryzysem cen surowców, wyszły też na jaw rozmaite nadużycia w funduszach pomocowych oraz historia wartego 500 mld dol. rządowego kontraktu dla Gabrieli Zapaty, z którą Morales, w życiu prywatnym kawaler, ma syna. Nawet jeśli ostatecznie przegra referendum, będzie miał czas, aby znaleźć godnego następcę. Choć czar prysnie.

Po pierwsze, *common sense*

komentarz



Adam Szostkiewicz

David Cameron po powrocie z Brukseli, gdzie ostatecznie doszło do porozumienia między Wielką Brytanią a pozostałymi państwami członkowskimi Unii, ogłosił datę referendum w sprawie pozostania Brytanii w Unii. Pierwsze od prawie 40 lat referendum odbędzie się 23 czerwca i bez względu na wynik będzie wydarzeniem historycznym w dziejach Europy. Cameron zapowiada, że poprowadzi kampanię za pozostaniem, pod hasłem, że Brytania jako część Unii jest silniejsza, bezpieczniejsza, ma się lepiej. Jeśli przekona obywateli, oszczędzi swemu państwu i Europie ogromnych kłopotów. Byłoby czymś absurdalnym politycznie, ekonomicznie i moralnie, gdyby o wyniku miały przesądzić sprawy ważne dla pewnej grupy ludzi, lecz drugorzędne z perspektywy przyszłości całego kontynentu. W grę wchodzi bowiem zarówno ewentualny rozpad Wielkiej Brytanii, jak i Unii Europejskiej. Jeśli większość głosujących opowie się za wyjściem, a Szkoci opowiedzą się za pozostaniem, rozpadnie się unia brytyjsko-szkocka. Jeśli Brytyjczycy wybiorą Brexit, upokorzona i borykająca się z serią kryzysów Unia Europejska utraci siły do obrony przed jej wrogami. Są nimi nacjonalści wewnątrz samej Unii i Rosja putinowska. Od dawna kontaktują się z sobą w tym samym celu: aby doprowadzić do rozpadu Unii. W swym ideologicznym zaślepieniu nie widzą, że upadek Unii czyni Europę słabszą, gdyż wystawia ją na pastwę narodowych

egoizmów. Ich rywalizacja doprowadziła już do dwóch wojen światowych. Unia jest rękomią pokoju, demokracji i rozwoju. Nawet jeśli przechodzi dziś ciężką próbę wydolności.

Bruksela może być zirytowana postawą rządu brytyjskiego. Na Wyspach wcale nie wszyscy chcą Unię opuścić. Mniejsze narody, liczne grupy mieszkańców przybyłych z innych krajów Europy, biznes, finansjera, wszelkiego rodzaju profesjonaliści obawiają się skutków Brexitu. Jednym z nich będzie żmudna procedura wyjścia, mogąca trwać lata i demolująca sieć powiązań Wysp z kontynentem. Politycy europejscy mają prawo czuć się dotknięci polityką brytyjskiego rządu. Cameron, by zachować władzę nad konserwatystami, uczynił na długie tygodnie zakładnikiem swej wewnętrznej rozgrywki inne państwa członkowskie. Zamiast zajmować się migrantami i gospodarką, muszą zajmować się zabiegami Camerona o zachowanie fotela premiera. Propozycje Camerona w istocie nie były żadnym wielkim planem naprawy UE, ale politycznym pomysłem na umocnienie konserwatystów na Wyspach. Pakiet Camerona odgrzewał tradycyjne roszczenia brytyjskie do specjalnego statusu w Unii UE.

To słaba polityka. I nic dziwnego, że tak naprawdę Unia dała Cameronowi tylko to, co mu dać musiała, czyli niewiele. Ale trzeba oddać Cameronowi, że wysuwając hasło reformy Unii, postawił ten temat z powrotem na porządku dziennym. Bo Unia reform rzeczywiście potrzebuje. Teraz jednak najważniejszy jest wynik referendum. I dobrze, że Cameron obiecuje, iż nie dopuści do rozvodu. Argumenty za pozostaniem są silne i wypływają z tak bardzo brytyjskiej tradycji *common sense*, zdrowego rozsądku w życiu publicznym. Znane jest zwykle lepsze od nieznanego. W niepewnych czasach lepiej jest być razem. Wierzę w zdrowy rozsądek Brytyjczyków.

Wzlot i upadek posła Miyazakiego



© GETTY IMAGES

Posel Kensuke Miyazaki zelektryzował w grudniu opinię publiczną swoją śmiałą decyzją, że jako pierwszy japoński polityk weźmie miesięczny urlop wychowawczy, aby wesprzeć żonę świeżo po porodzie. Przeważały opinie niechętne: że sprawy wagi państwowej są ważniejsze niż czyjś prywatny poród (a co by było, gdyby w parlamencie odbywało się ważne głosowanie i tego jednego głosu rządzącej

Partii Liberalno-Demokratycznej zabrakło?). Ale odważnego posła mocno wsparł sam premier Shinzo Abe; wszak częścią jego Abenomic, planu reform gospodarczo-społecznych, jest aktywizacja zawodowa kobiet. Tymczasem w bardzo konserwatywnej Japonii 60 proc. kobiet po urodzeniu dziecka nie wraca już do pracy. A z rocznego urlopu tacierzyńskiego, pozwalającego hojnie zachować 60 proc. uposażenia, korzysta tylko 2 proc. japońskich ojców.

Miyazaki miał ten trend odwrócić i stać się wyrazistym ambasadorem rosnącego powoli ruchu *ikumen*, partnerskiego wychowania dzieci. Niestety, pewien brukowiec przyłapał go właśnie na związku z panną Mayu Miyazawa, modelką i specjalistką od doboru kimon. Posel zrezygnował z mandatu, publicznie przeprosił, iż „swym karygodnym zachowaniem naraził na szwank dobre imię japońskiej polityki”, obiecał także, że „resztę życia poświęci na to, aby wynagrodzić żonie poniesione cierpienia”. Gorzej, że przy okazji zawił się cały model: żaden młody tata długo jeszcze nie wystąpi o urlop wychowawczy, bo pracodawcy kojarzą się on teraz jednoznacznie z przymiarką kimon.

Jak się dostać do jabłka

Prywatność ponad wszystko – twierdzi szef Apple Tim Cook w otwartym liście, opublikowanym w zeszłym tygodniu. To reakcja na wyrok sądu federalnego, który nakazał technologicznemu gigantowi współpracę z FBI w dostaniu się do pewnego ważnego iPhone'a. Należał on do jednego z terrorystów, którzy w grudniu w San Bernardino w Kalifornii zabili 16 osób. FBI ma zapewne rację, że w tym telefonie mogą być ważne informacje. Ale Apple też ma swoje racje. W tego typu iPhone'ach firma wprowadziła bowiem system kodowania, który przy dziesiątym błędnym wprowadzeniu PIN kasuje całą zawartość telefonu. FBI domaga się takiego poluzowania zabezpieczeń, aby PIN w tym przypadku można było wpisywać nieograniczoną liczbę razy – i w końcu trafić. To może pozwolić władzom (i złym ludziom) na łamanie zabezpieczeń w iPhone'ach. Według Cooka ważą się więc losy wiarygodności całej firmy, dlatego będzie się bił o to nawet w sądzie najwyższym. Złośliwcy zarzucają Apple podwójne standardy: na początku 2015 r. chińskie media donosiły, że firma zgodziła się na „kontrolę bezpieczeństwa” swoich produktów przez chińskie władze. Apple nie komentuje sprawy. A Cookowi zależy na tym rynku.

REKLAMA

MAROON 5

1.06.2016 **TAURON Arena Kraków**



PŁYTA "V" W SPRZEDAŻY

BILETY: LIVENATION.PL

A LIVE NATION PRESENTATION IN ASSOCIATION WITH ITB

Nasz Lech, wasz Bolek

Plan PiS jest czytelny: przez zniszczenie legendy Lecha Wałęsy zanegować całą III RP i wykreować nowych bohaterów niepodległości. Drugiej stronie pozostaje tłumaczyć konteksty, bronić dorobku i tego, co w postaci lidera „S” wielkie. I przypominać, że Lech Wałęsa jest ważną, ale tylko częścią tej historii.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Prawica szaleje z radości: dokumenty ujawnione przez wdowę po gen. Kiszczaku ostatecznie potwierdzają, że Lech Wałęsa był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Bolek. Padnijcie na kolana! Przepróście panów Cencikiewicza i Gontarczyka, którzy pierwsi ujawnili prawdę o Bolku. Niesamowite, że dawni druhowie Wałęsy gotowi są dziś bić pokłony pani Kiszczakowej, a pośrednio i samemu generałowi, że te dokumenty ocalił i bezpiecznie przechował. Że stał się poniekąd najwyższym arbitrem w sporze o najnowszą polityczną historię Polski.

Sednem tego sporu jest to, czy nasza droga do wolności była właściwa, i to, jaką rolę odegrał w niej symboliczny Mojżesz, Lech Wałęsa. Obóz prawicy odrzuca wybór tej drogi, a z Wałęsy stara się uczynić Judasza. Chce go zastąpić w roli ojca naszej odrodzonej niepodległości Lechem Kaczyńskim: „Lech za Lecha!”. Milczy, że to Wałęsa wykreował braci Kaczyńskich, drugorzędnych działaczy Solidarności, na polityków, włączając ich do swojego bliskiego otoczenia.

Wprowadził ich do gry, aby zrównoważyć wpływy obozu formującego się wokół liderów solidarnościowej umiarkowanej, liberalnej lewicy – Geremka, Kuronia, Mazowieckiego i Michnika. W kampanii prezydenckiej Wałęsa stanął przeciwko Mazowieckiemu, a bracia Kaczyńscy, zwłaszcza Jarosław, byli wiernymi oficerami Wałęsy. Andrzej Anusz, działacz sztabu wyborczego Wałęsy w 1990 r., w portalu 300polityka przypomniał, że w czasie kampanii dotarły do nich sygnały, że jeśli do drugiej tury przejdzie Mazowiecki i Wałęsa, to sztab Mazowieckiego wyciągnie esbeckie kwity na Wałęsę, dlatego obmyślali strategię na taki wypadek. Niezależnie od prawdziwości tych sygnałów jest jasne, że wówczas Kaczyńscy promujący Wałęsę byliby gotowi dezawuować



Lech Wałęsa z żoną Danutą i dziećmi na wakacjach, zdjęcie z połowy lat 70.

oskarżenia lidera „S” o współpracę z SB, bo Wałęsa był ich jedynym politycznym wehikułem w walce o władzę. Potem, kiedy pozbył się Jarosława, został ich śmiertelnym wrogiem. Prezydent Wałęsa miał teraz naprzeciw siebie przeciwników z pokonanego obozu Mazowieckiego, i wrogów ze swojego byłego sztabu. Musiał przegrać.

Od porażki z Kwaśniewskim w 1995 r. polityczne znaczenie Wałęsy dramatycznie zmalało.

Dlatego też utożsamianie byłego lidera Solidarności z całą III RP, co próbuje robić prawica, jest nieuprawnione. Pozostało jednak symboliczne znaczenie Wałęsy jako „twórcy Niepodległej”, oddzielone już od jego prezydenckich błędów. Dawni przeciwnicy Wałęsy z czasów kampanii prezydenckiej i jego prezydentury – środowisko Unii Demokratycznej i inne ugrupowania umiarkowane – zakopali topór wojenny, bo Wałęsa na politycznej emeryturze potrafił się zachować jak mąż stanu broniący demokracji racjonalnej. Za to dawni dworzanie i adiutanci Lecha zaczęli kampanię jego dyskredytowania, aby wraz z nim obalić mit założycielski III RP (rozciągający się od Solidarności po Okrągły Stół i wybory 4 czerwca), zdobyć władzę i przebudować wolną Polskę według recept narodowo-katolickich.

Dla prawicy pakiety Kiszczaka są na pewno wyęsknionym brakującym ogniwiem, które ostatecznie potwierdza w ich mniemaniu opowieść o Wałęsie, którego zdradziecka działalność skalała narodziny wolnej Polski. Kwity Kiszczaka mają stać się kolejnym dowodem, że nowy pisowski obóz władzy musi dokończyć „ukradzioną rewolucję” 1989 r. Dla prawicy – co ostatnio znów przypominał Jarosław Kaczyński w przemówieniu toruńskim – III RP była dziełem komunistycznych dysydentów i „resortowych dzieci” z komunistycznymi rodowodami, którzy dogadali się przy Okrągłym Stole z komunistami z PZPR.

Przyjdzie więc czas i na innych rycerzy Okrągłego Stołu, żyjących i nieżyjących (z oczywistym wyjątkiem Lecha Kaczyńskiego). Kwity Kiszczaka posłużą do niszczenia autorytetu wszystkich, którzy ogłosili go „człowiekiem honoru”, a teraz muszą mieć głupie miny, bo Kiszczak trzymał jednak na nich esbeckie papiery, zamiast je zniszczyć po ugodzie w 1989 r. Prawica ogłasza upadek legendy Wałęsy i mitu lojalnych względem demokracji komunistycznych generałów. Nie ma opowieści o pokojowej transformacji, jest Kiszczakowa teczka Bolka. Przywódcą Solidarności i pierwszym prezydentem III RP był zwyczajny płatny kapuś, być może wciąż szantażowany i manipulowany przez byłych ubeków. Ta narracja syci i wypełnia całą pravicową przestrzeń polityczną.

Czy jednak pudła dokumentów wyniesione z willi Kiszczaków mogą przesądzić o historycznej ocenie Lecha Wałęsy? Słyszymy, że dokumenty dotyczące Bolka są autentyczne, ale to niekoniecznie przesądza sprawę, czy zawierają prawdę. Sam Instytut Pamięci Narodowej, który je bada, podkreśla, że choćby analizy grafologiczne zajmą sporu czasu. Ale, dla politycznych potrzeb, nie zwlekał z publikacją.

Niejasne są same okoliczności, w jakich kwity stały się sensacją krajową i światową. Wdowa po generale raz mówi, że wykonała polecenie męża, raz, że potrzebowała pieniędzy na życie i dlatego chciała nimi zainteresować IPN. Nie potrafi przekonywać wyjaśnić, czemu ujawniła dokumenty i dlaczego akurat teraz, po przejęciu władzy przez obóz pisowski. Ale przyjmijmy, że papiery są prawdziwe – to znaczy były wytworzone przez Wałęsę – Bolka, że prawdziwe są pokwitowania pieniędzy, donosy i meldunki, że młody Wałęsa był rzeczywiście, czemu on sam zaprzecza, tajnym współpracownikiem SB.

Czy sześć lat nawet udokumentowanej współpracy może przekreślić miejsce, jakie zajął on w polskim imaginariu, w naszym spojrzeniu na wydarzenia, w których Wałęsa brał udział i które współtworzył? Czy może zasadniczo zmienić spojrzenie na nas samych, zwłaszcza ludzi pokolenia Solidarności, którzy Wałęsie zawierzili w sprawie zasadniczej: że chodzi mu o to samo, o co chodzi milionom Polaków garnących się do tego wielkiego ruchu na rzecz demokracji, sprawiedliwości i wolności.

Wydaje się, że sprawa jest tak poważna, iż waga powinna być precyzyjnie wyskalowana. Nie każdy grzech przeważa szalę. Winy można zmyć tym, co się działo po ich popełnieniu. Szczególnie że – jak dotąd – nie zgłosili się ewentualni pokrzywdzeni przez Bolka, a sam Wałęsa wzywa, aby przerwali milczenie tajemniczy świadkowie koronni jego prawdomówności.

Sześć lat współpracy nie czyni z Wałęsy funkcjonariusza peerelowskiego aparatu bezpieczeństwa. Jesteśmy nie na końcu, lecz w środku dramatu, który może, ale nie musi i nie powinien zakończyć się gwałtem na naszej najnowszej historii. Tajny współpracownik Wałęsa był raczej dość typowym przypadkiem ofiary SB. Bojąc się o siebie i rodzinę, nie mając w nowym środowisku swego życia w nikim oparcia, uległ Służbie Bezpieczeństwa wykorzystującej jego słabość.

Zetknięcie się Lecha Wałęsy z ludźmi opozycji demokratycznej było dla niego momentem zwrotnym. Przestał być robotniczym donkiszotem, podjął z nimi wspólnie ryzyko. We wczesnych latach 70. marzenie o polskiej niepodległości miało niewielkie szanse. Ale wybór Karola Wojtyły na papieża w 1978 r. i pogarszająca się sytuacja gospodarcza Polski spowodowały

nowe rozdanie kart. Masowe strajki latem 1980 r. zyskały poparcie części inteligencji, co nie zdarzyło się w taki sposób podczas poprzednich polskich zrywów wolnościowych. Oczy Polaków, a wkrótce także całego świata, zwróciły się na Gdańsk, gdzie na czele protestu stanął między innymi Wałęsa.

Wałęsa w ciągu kilku dni stał się twarzą tego protestu, fenomenalnie utalentowanym trybunem ludowym porwijącym rzesze. Jego chłopsko-robotnicze pochodzenie, robociarski język, ubiór i styl bycia utrudniały propagandzie przedstawianie protestu, którym Wałęsa kierował, korzystając z dyskretnej pomocy inteligenckich doradców, jako spisku wewnętrznych i zewnętrznych sił antysocjalistycznych.

Wychowanek socjalizmu wzywał do jego radykalnej reformy. I to ten wężaty (à la Marszałek) Wałęsa, jakiś robol bez matury, z plastikową plaketką z Matką Boską Częstochowską w kłapie marynarki, podpisał w imieniu strajkujących porozumienie z przedstawicielami rządu PRL kiczowatym długopisem. Ten sam Wałęsa, wybrany demokratycznie na I Zjeździe Solidarności na przewodniczącego Związku, objeżdżał wkrótce potem triumfalnie Polskę. Wszędzie witały go tłumy, ludzie nosili go na rękach. Stało się coś niesamowitego. W państwie od ponad 40 lat wychowującym nowego socjalistycznego człowieka rząd dusz przejęli zbuntowany robotnik i papież.

Wałęsa nie raz przyznawał – zgoda, wykrotnie, tak jak to robi i teraz – że miał kontakty z SB

w pierwszej połowie lat 70. Przekonuje (może na wyrost), że przez tych kilka lat to był fragment jego planu na ogranie komuny. Wersja wydaje się psychologicznie prawdopodobna. Wałęsa jest typem gracza, który nie zna słowa „przegrana”. Sięgnie po każdy środek, by osiągnąć cel, jeśli uzna, że jest tego wart. Swój „chłopski spryt” łączył z talentem politycznego naturalszczyka, który potrafił lawirować tak, by wyjść na swoje. Po chłopsku nieufny i podejrzliwy, z nikim nie zawierał trwałego przymierza, ani z inteligentami, ani z plebejuszami. Wierzył tylko w siebie i Pana Boga. W polityce skończyło się to jego osamotnieniem i izolacją. Ale też pewnie czuł, że nawoływania prawicy, aby się przyznała, to może będzie mu wybaczone, są całkowicie nieszczerze. Że gdyby wcześniej dokładnie opisał swoje relacje z SB, to byłby po prostu wcześniej zniszczony.

Dokumenty SB odnotowują, że Wałęsa zerwał współpracę w połowie lat 70. i nigdy jej nie podjął na nowo. To istotne, bo tylko dobrowolna współpraca trwająca do końca PRL mogłaby przeważać szalę na jego niekorzyść. Lepiej nie upadać, ale ważniejsze jest, czy ten, kto się potknął, próbował ►